

EUREKA. POEMAT PROZĄ (część druga)

(III. KONCEPCJE)

(26.) Teza ta dopuszcza wybór między dwoma sposobami prowadzenia dyskusji: możemy się w niej wznieść lub zstąpić w nią. Zaczynając od naszego własnego punktu widzenia, da się przenieść z Ziemi, na której stoimy, na inne planety Układu Słonecznego, stamtąd do Słońca, potem do Układu Słonecznego rozpatrywanego całościowo, a stamtąd poprzez inne układy, bez końca, na zewnątrz, lub, zaczynając w jakimś punkcie w górze, tak dokładnie określonym, jak tylko możemy to uczynić lub wyobrazić sobie, być może zstąpimy do siedliska Człowieka. Przeważnie – to znaczy w zwykłych pracach na temat astronomii – przyjmowany jest, z pewnym zastrzeżeniem, pierwszy z tych dwóch sposobów dyskusji, a to z oczywistego powodu, że jej przedmiotem są tu li tylko fakty i zasady astronomiczne. Ten cel najlepiej realizuje się w stopniowym postępowaniu od tego, co znane, ponieważ jest najbliższe do punktu tak odległego, że zatracą się w nim wszelka pewność. Jednakowoż, z uwagi na mój obecny zamiar polegający na umożliwieniu umysłowi objęcia, jakby z oddali, jednym rzutem oka, odległej koncepcji każdego pojedynczego Wszechświata, oczywiście wydaje się, że zstąpienie od wielkiego do małego, od środka (jeśli moglibyśmy wyznaczyć środek) na peryferie, od początku (jeśli moglibyśmy wyobrazić sobie początek) do końca byłoby bardziej pożądane, to, ze względu na trudność, jeśli nie niemożliwość zaprezentowania w takim procesie nieastronomom obrazu w całości zrozumiałego w odniesieniu do takich rozważań, jak te dotyczące ilości, to znaczy liczby, wielkości i odległości – jest to niewykonalne.

(27.) Tymczasem dystynktywność (zrozumiałość) we wszystkich punktach jest w zarysie mojej koncepcji cechą kardynalną. W ważnych kwestiach lepiej formułować myśli zbyt rozwlekłe aniżeli zawile – nawet w bardzo małym stopniu. Jednakowoż zawiałość jest właściwością, która nie odnosi się do żadnego tematu *per se*. Wszystko jawi się podobne w łatwości pojmowania komuś, kto podchodzi do tego stopniowo, właściwymi etapami. To z tego powodu, że czasami na naszej drodze do zrozumienia rachunku różniczkowego ignorujemy pojawiające się tu i ówdzie wskazówki, nie jest on dla nas tak prosty, jak sonet pana Solomona Seesawa¹.

¹ We wrześniu 1839 roku Edgar Allan Poe recenzował na łamach „Burton’s Magazine” książkę Solomon Seesaw pióra Johna Parisha Robertsona. Zob. John Parish Robertson, Senior Author of Letters on Paraguay. *Salomon Seesaw*. (London: Saunders and Otley, 1839). Przepis red.

(28.) Trzeba zatem przyznać, że nie ma mowy o błędnym rozumieniu; uważam za wskazane, aby postępować tak, jakby nawet najbardziej oczywiste fakty astronomii nie były czytelnikowi znane. Łącząc wspomniane dwie metody dyskusji, proponuję skorzystać zarówno z zalet właściwych każdej z nich, jak i ze szczegółowych repetycji, co będzie nieuniknione i jest elementem tego projektu. Rozpoczynając od zstąpienia, zastrzegam sobie prawo powrotu w górę do tych niezbędnych rozważań ilościowych, do których odniesienia zostały już poczynione.

(29.) Toteż zacznijmy od razu od najwycyżajniejszego słowa „Nieskończoność”. Nie jest ono w żadnym wypadku, podobnie jak „Bóg”, „duch” i niektóre inne wyrażenia, których odpowiedniki istnieją we wszystkich językach, wyrażaniem idei, lecz usiłowaniem ich stworzenia. To oznacza możliwą próbę realizacji niemożliwej koncepcji. Człowiek potrzebował terminu, który wskazywałby kierunek owego wysiłku – chmurę, za którą leży, wiecznie niewidoczny, cel owych usiłowań, krótko mówiąc, było potrzebne takie słowo, za pomocą którego jedna ludzka istota mogłaby wejść od razu w relację z drugą ludzką istotą o pewnej skłonności umysłu. Z tej potrzeby wyłoniło się słowo „Nieskończoność”, które wyraża jedynie myśl o myśli.

(30.) Jeśli chodzi o tę nieskończoność, teraz rozważaną nieskończoność przestrzeni, często słyszymy, jak mówi się, że „jej idea jest dopuszczana przez umysł, że istnieje na nią przyzwolenie i że jest rozpatrywana ze względu na większą trudność, która wiąże się z koncepcją jej pewnego rodzaju granicy”. To atoli jedna z tych fraz, przez które nawet najświatlejsi myśliciele od niepamiętnych czasów czerpali niekiedy przyjemność z oszukiwania samych siebie. Kruczek zawarty jest w słowie „trudność”. „Umysł”, jak nam mówiono, rozważa ideę nieograniczoności przez pryzmat jeszcze większej trudności, jaka wiąże się z „rozważaniem idei ograniczonej przestrzeni”. Otóż gdyby to było jedyne rzetelne twierdzenie, to jego absurdalność od razu stałaby się oczywista. Najwidoczniej nie ma w tym przypadku żadnej trudności. To twierdzenie – zakładając, że jest przedstawione zgodnie z jego intencją i bez sofistyki – wyglądałoby następująco: „Umysł przyjmuje ideę nieograniczoności przez pryzmat jeszcze bardziej niemożliwej do przyjęcia koncepcji ograniczonej przestrzeni”.

(31.) Należy od razu zauważyć, że nie jest to kwestia dwóch stwierdzeń, spomiędzy których rozum powinien wybrać bardziej wiarygodne i zasadne: to zagadnienie dwóch koncepcji, bezpośrednio sprzecznych, a każda z nich pozostaje jawnie niemożliwa i to umysł, z założenia zdolny do rozumowania, jest w stanie wybrać jedną z powodu większej niemożliwości pojęcia tej drugiej. Nie dokonuje się wyboru pomiędzy dwiema trudnościami – to tylko wyobrażenie, że dokonuje się wyboru pomiędzy dwiema niemożliwościami. Co do pierwszej, są możliwe stopnie rozumienia, a co do drugiej – nie ma żadnych: dokładnie tak, jak sugerował nasz zuchwały autor listu. Zadanie może być mniej lub bardziej trudne, ale jest albo możliwe albo nie jest możliwe:

nie ma tutaj gradacji. Być może trudniej obrócić wniwecz Andy niż mrowisko, ale nie da się bardziej unicestwić materii tych gór niż materii mrowiska. Człowiek może przeskoczyć dziesięć stóp z mniejszą trudnością niż dwadzieścia, ale niemożliwość skoku na Księżyc nie jest ani na jotę mniejsza niż niemożliwość skoku na Syriusza.

(32.) Skoro wszystko to okazuje się niezaprzeczalne, skoro wybór umysłu ma się dokonać pomiędzy niemożliwościami koncepcji, skoro jedna niemożliwość nie może być większa od drugiej, skoro jedna nie może być uprzywilejowana w stosunku do drugiej, to filozofowie, którzy podtrzymują, z wymienionych powodów, nie tylko człowieczą koncepcję nieskończoności, lecz także taką podejrzaną ideę samej nieskończoności – są szczerze zaangażowani w udowadnianie, że jedna rzecz niemożliwa jest możliwa poprzez dążenie do wykazywania, że druga rzecz jest również niemożliwa. To nonsens, jak zostanie jeszcze powiedziane, i być może jest tak w rzeczy samej; myślę, że to wierutna bzdura, aczkolwiek zrzekam się wszelkich roszczeń do autorstwa teje.

(33.) Jednak najłatwiejszym sposobem wykazania błędności filozoficznej argumentacji w tej kwestii jest po prostu nawiązanie do *faktu*, który dotychczas był zupełnie niezauważany, faktu, że argumentacja będąca aluzją do obu dowodzi i zarazem obala swoje twierdzenie. „Umysł jest zmuszany” – mówią teologowie i inni – do tego, „by przyjąć Pierwszą Przyczynę z powodu najwyższej trudności, jakiej doświadcza, rozmyślając o przyczynie bez przyczyny, i tak bez końca”. Zastrzeżenie to, jak poprzednio, zawarte jest w słowie „trudność”, ponieważ, co miałoby ono *tutaj* wnosić? Pierwszą Przyczynę. A czymże jest pierwsza przyczyna? Ostatecznym ustaniem przyczyn. A czymże jest ostateczne ustanie przyczyn? Skończonością. Tym, co się kończy. A zatem, to jedno zastrzeżenie dotyczy obu wspomnianych sposobów rozumowania i tylko Bóg wie, ilu filozofów ma opowiadać się raz za Skończonością, a raz za Nieskończonością – czyż nie można opowiedzieć się za czymś innym? Co do zastrzeżeń – przynajmniej *one* nie nadają się do przyjęcia. Ale – [dopowiedzmy], by je odrzucić – to, czego dowodzą w jednym przypadku, tak samo nic nie znaczą, jak i w drugim.

(34.) Oczywiście, nikt nie będzie przypuszczał, że kontestuję tutaj absolutną niemożliwość *tego*, co staramy się wyrazić w słowie „Nieskończoność”. Moim celem jest jedynie wykazać głupotę dążenia do dowiedzenia samej Nieskończoności, a nawet naszej koncepcji jej dotyczącej, poprzez tak nieudolne rozumowanie jak to, które jest zazwyczaj stosowane.

(35.) Niemniej jednak jako jednostce wolno mi powiedzieć, że nie *potrafię* wyobrazić sobie Nieskończoności i jestem przekonany, że żadna istota ludzka również nie jest w stanie. Umysł całkiem samoświadomy, nieprzywykły do introspekcyjnej analizy własnych działań będzie, doprawdy, często oszukiwać się, zakładając, że *przemysłał* koncepcję, o której mówimy. W dążeniu do przemyślenia jej idziemy krok po kroku, wyobrażamy

sobie punkt poza punktem; i tak dzieje się, dopóki będziemy kontynuować nasz wysiłek – można powiedzieć, że faktycznie *skłaniamy się* do sformułowania zamierzonej koncepcji; podczas gdy siła wrażenia, iż istotnie formułujemy ją lub już sformułowaliśmy, pozostaje w proporcji do okresu, podczas którego nie ustajemy w wysiłku umysłowym. Wszelako dokonujemy (ostatecznie) aktu rezygnacji z tego wyzwania, gdy dochodzi do spełnienia – jak mniemamy – idei, kiedy zadajemy jej ostateczny cios, gdy natychmiast obracamy wniwecz cały gmach naszej fantazji, opierając się na jakimś skrajnym, i dlatego określonym, punkcie. Z uwagi na absolutną zbieżność w czasie dojścia do tego punktu i aktu zaprzestania myślenia, nie udaje nam się jednak tego faktu dostrzec. Z kolei, usiłując przedstawić ideę ograniczonej przestrzeni, po prostu rozmawiamy o procesach, które wiążą się z niemożliwością.

(36.) Wierzymy w jakiegoś Boga. Możemy wierzyć lub nie, w skończoną lub nieskończoną przestrzeń, ale nasze przekonania w takich przypadkach wspierają się na wierze i jest to kwestia zupełnie odmienna od właściwego przekonania – od przekonania *intelektualnego* – które z góry zakłada istnienie koncepcji mentalnej.

(37.) Faktem jest, że po sformułowaniu któregośkolwiek z tej kategorii określeń, do których należy „Nieskończoność” (kategoria reprezentująca *myśli o myśli*), ten, kto ma prawo powiedzieć, że w ogóle myśli, czuje się powołany do nieprzyjmowania, nierozważania takiej koncepcji, ale po prostu kieruje wizję swojego umysłu w stronę takiego punktu na mentalnym firmamencie, gdzie leży mgławica, której nigdy nie da się rozwiać. Nie da się jej rozproszyć, ponieważ w lot pojmuje się nie tylko niemożliwość, lecz także w odniesieniu do wszystkich ludzkich celów – *nieistotność* jej poznawania. Dostrzega on, że ów Bóg nie stworzył jej po to, by była poznawana. Od razu widzimy, że znajduje się ona poza zasięgiem ludzkiego umysłu, widzimy też, w *jaki sposób*, a nawet dokładnie, *dlaczego* znajduje się poza nim. Są ludzie, wiem o tym, którzy, podejmując próby osiągnięcia tego, co nieosiągalne, nabywają bardzo łatwo (dzięki swojemu żargonowi, który szerzą pośród owych myślicieli myślących, że – myślą, i dla których mroczność i głębokość są synonimami) czegoś w rodzaju mątwiej przenikliwości; ale najwspanialszą właściwością myśli jest jej samopoznanie, toteż, nieco dwuznacznie można powiedzieć, że żadne zaćmienie umysłu nie może być większe aniżeli to, które, rozciągając się po same granice domeny intelektu, odgradza nawet te właśnie granice od ich zrozumienia.

(38.) Teraz będzie jasne, iż używając zwrotu „nieskończoność przestrzeni”, nie wzywam czytelnika do przyjęcia niemożliwej koncepcji *absolutnej* nieskończoności. Odnoszę się po prostu do „najrozleglejszego, możliwego do pomyślenia, przestworza” – fluktuującej i mgławicowej/mglistej domeny, która raz kurczy się, raz puchnie, zgodnie z rozredganymi energiami wyobraźni.

(39.) Dotychczas Wszechświat Gwiazd uchodził zawsze za zbieżny ze Wszechświatem Właściwym, jak to zdefiniowałem na początku tej rozprawy. Zawsze zakładano, czy to bezpośrednio, czy to pośrednio – przynajmniej od zarania dziejów dającej się zrozumieć Astronomii – że gdybyśmy mogli dotrzeć do dowolnego punktu w przestrzeni, nadal powinniśmy dostrzegać z każdej strony niekończący się korowód gwiazd. Była to koncepcja Pascala, której nie dało się utrzymać, a w której podjął on chyba najbardziej udaną próbę, jakiej kiedykolwiek dokonano, poprzez peryfrazę idei, z którą zmagamy się w słowie „wszechświat”. „Jest to kula” – twierdził – „której środek jest wszędzie, a sfera nigdzie”². Mimo że ta, w zamierzeniu, definicja w rzeczy samej faktycznie nie jest żadną definicją Wszechświata Gwiazd, możemy ją jednak przyjąć – ale z pewnym intelektualnym zastrzeżeniem, a mianowicie jako definicję (wystarczająco rygorystyczną dla wszystkich praktycznych zamiarów) Wszechświata Właściwego, to znaczy Wszechświata Przestrzeni. Ten ostatni zatem uważajmy za „kulę, której środek jest wszędzie, a sfera nigdzie”³. Faktycznie, uznając za niemożliwe wyobrażenie sobie końca przestrzeni, nie mamy trudności z wyobrażeniem sobie nieskończoności początków.

IV. POCZĄTEK

(40.) Jako nasz punkt wyjścia przyjmijmy zatem pojęcie Boga samego w sobie – tylko on sam nie jest głupcem – tylko on nie jest bezbożnikiem, który nic nie postuluje/ proponuje. „*Nous ne connaissons rien*”, rzecze baron de Bielfeld – „*Nous ne connaissons rien de la nature de l'essence de Dieu: pour savoir ce qu'il est, il faut être Dieu même*”. – „Nie wiemy absolutnie nic o naturze ani o istocie Boga – ażeby zrozumieć, czym on jest, sami musielibyśmy być Bogiem”.

(41.) „*Musielibyśmy sami być Bogiem!*” – z frazą, tak zadziwiajączą, wciąż dzwoniącą mi w uszach, ośmielam się jednak pytać, czy nasza obecna niewiedza odnośnie do owego Boga jest ignorancją, na którą wiekuiście skazana jest dusza.

(42.) Przyjmijmy jednakowoż rozróżnienie, że On – jak dotąd *Niepojęty* – jest *Duchem*, czyli *nie jest Materią*, to rozróżnienie dla wszystkich oczywistych zastosowań będzie dobrze zastępować definicję, zgodnie z którą On istnieje jako Duch – niech nam to wystarczy tej nocy – i że zostaliśmy *stworzeni* lub *uczynieni* z niczego, dzięki jego woli, w pewnym punkcie przestrzeni, który przyjmujemy za środek, w pewnym czasie, którego nie staramy się nawet określić, ale w każdym razie niezmiernie odległym; przypuśćmy zatem, iż On stworzył – co? Jest to niezwykle doniosły moment w naszych rozważaniach. Czym jest to, co daje nam podstawy, by uważać – że tylko my mamy prawo, by przyjmować, iż tylko i wyłącznie my zostaliśmy *stworzeni*?

² W przekładzie Tadeusza Żeleńskiego (Boya) Pascalowskich *Myśli wszechświat* „[j]est to nieskończona kula, której środek jest wszędzie, powierzchnia nigdzie”. Zob. Blaise Pascal. *Myśli*, tłum. Tadeusz Żeleński (Boy) (Poznań: Nakład Księgarni św. Wojciecha, 1921), 51. Przepis red.

³ Pascal. *Myśli*, 51. Przepis red.

(43.) Osiągnęliśmy punkt, w którym tylko *Intuicja* może nam pomóc; lecz teraz pozwólcie, że powrócę do idei, którą już zasugerowałem jako jedyną, którą możemy właściwie zrozumieć poprzez intuicję właśnie. To przekonanie wynikające z tych indukcji lub dedukcji, których tok jest tak pogmatwany, że umyka naszej świadomości, zwodzi nasz rozum lub przeciwstawia się naszej zdolności wyrażania. Rozumując w ten sposób, twierdzę teraz, że intuicja zgoła nieodparta, choć nie do wyrażenia/niewypowiedziana/niewyraźalna, zmusza mnie do konkluzji, że Bóg stworzył pierwotnie ową materię, którą dzięki swojej woli uczynił najpierw ze swojego ducha albo z nicości i która nie mogła być niczym innym, jak tylko materią w jej najbardziej możliwym do pojęcia stanie... jakim? ...W *Prostocie*?

(44.) To będzie jedyne absolutne założenie mojej rozprawy. Używam słowa „założenie” w jego zwykłym znaczeniu, aczkolwiek utrzymuję, że nawet to moje główne twierdzenie jest naprawdę bardzo, bardzo daleko od bycia czystym założeniem. Nic nigdy nie było bardziej pewne, żaden człowieczy wniosek nigdy nie był faktycznie bardziej metodycznie, bardziej rygorystycznie wydedukowany, ale, niestety! Procesy te nie poddają się analizie człowieka – a w każdym razie nie dają się wyrazić ludzką mową.

(45.) Postarajmy się teraz wyobrazić sobie, czym musi być Materia, kiedy (lub jeżeli) występuje w swojej absolutnie ekstremalnej formie – w *Prostocie*. W tym miejscu rozum natychmiast wznosi się ku bezcząstkowości – zmierza do cząstki – do jednej cząstki – cząstki jednego rodzaju – jednej cechy – jednej natury – jednej wielkości – jednej formy – do cząstki zatem „bez formy i pustej” – cząstki niewątpliwie będącej cząstką we wszystkich punktach absolutnie wyjątkową, osobliwą, niepodzielną i niedającą się podzielić⁴. I tylko Ten, który ją stworzył, dzięki swojej woli, poprzez nieskończenie mniejszą energię tej samej woli, może – co się rozumie samo przez się – ją podzielić.

(46.) Jednia jest więc wszystkim, co uważam za pierwotnie stworzoną Materię, jednakowoż proponuję pokazać, że ta Jednia jest zasadą aż nadto wystarczającą, by objaśnić strukturę, istniejące zjawiska, tudzież nieuniknione – w oczywisty sposób – unicestwienie co najmniej materialnego Wszechświata.

(47.) Wola istnienia pierwotnej cząstki dopełniła aktu stwarzania lub, ściślej mówiąc, jego rozpoczęcia. Przechodzimy teraz do ostatecznego celu, dla którego powinniśmy założyć, że taka cząstka została stworzona, czyli ostatecznym celem – o ile nasze rozważania pozwalają nam tak sądzić – jest powstanie z owej Cząstki Całego Wszechświata.

⁴ W książce Michała Hellera *Jedna chwila w dziejach wszechświata. Lemaitre i jego Kosmos* zaznaczony fragment pojawia się w charakterze cytatu. W tłumaczeniu autora brzmi on następująco: „Racjonalne myślenie natychmiast zwraca się tu do zaprzeczenia szczegółowości (imparticularity) – do cząstki – do jednej cząstki – cząstki jednego rodzaju – o jednym charakterze – o jednej naturze – o jednej wielkości – o jednej postaci – a więc do cząstki ‘bez postaci i pustki’ (without form and void) – do cząstki znajdującej się zdecydowanie we wszystkich punktach (positively a particle at all points) – cząstki absolutnie jedynej, indywidualnej i niepodzielnej...”. Zob. Michał Heller, *Jedna chwila w dziejach wszechświata. Lemaitre i jego Kosmos*, (Kraków: Copernicus Center Press, 2020), 11. Przepis red.

(48.) Przebieg owego powstawania był skutkiem wymuszonej przemiany pierwotnej i naturalnej Jedności w nienormalną Wielość. Działanie tego rodzaju pociąga za sobą przeciwdziałanie. Rozprzestrzenianie się od Jedności, w takich warunkach wiąże się z dążeniem do powrotu do niej – dążeniem niemożliwym do powstrzymania, dopóki się ono nie spełni. Co do tych kwestii, później omówię je dokładniej.

(49.) Założenie, że pierwotna Cząstka była absolutną Jednością implikuje nieskończoną podzielność. Wyobraźmy sobie zatem Cząstkę nie do końca rozproszoną w Przestrzeni. Ta jedna Cząstka, jako punkt centralny – załóżmy – rozpromieniła się sferycznie – we wszystkich kierunkach – do niezmiernych, ale wciąż określonych odległości w poprzednio pustej przestrzeni – pewną niewymownie wielką, acz ograniczoną liczbą niewyobrażalną, acz nieskończenie małych atomów.

(V. ATOMY I ELEKTRYCZNOŚĆ)

(50.) Otóż, co do tych atomów, w ten sposób rozproszonych lub w trakcie rozpraszania: jakie warunki wolno tam nie tyle zakładać, ile wnioskować, zarówno w zależności od źródła pochodzenia tychże atomów, jak i projektu ich ułożenia, widocznego w sposobie ich rozproszenia? *Ich pierwotna jedność i jednocześnie zróżnicowanie* po rozproszeniu dają nam prawo sądzić, że ów proces jest przynajmniej ogólnie obecny w całym planie i stanowi część samego planu/zamysłu, co uprawnia nas do oczekiwania ustawicznych różnic we wszystkim, co bierze swój początek w jedności i prostocie. Czy, jednakowoż, z tych powodów mamy prawo, ażeby wyobrażać sobie atomy jako twory niejednorodne, niepodobne, nierówne i nierówno odległe? A jaśniej – czy mamy uważać, że nie ma dwóch atomów, które w procesie odśrodkowego rozpraszania się, mają tę samą naturę lub tę samą formę lub ten sam rozmiar? I czy podczas rozpraszania się w przestrzeni wszystkie one są od siebie nierówno oddalone jeden od drugiego? W takim układzie i w takich warunkach najłatwiej i najszybciej pojmujemy następną, najbardziej optymalną realizację każdego takiego planu, zgodnie z moją sugestią – owego planu osiągnięcia różnorodności z jedności – odmienności z identyczności, niejednorodności z jednorodności – złożoności z prostoty – słowem jak najbardziej możliwej mnogości powiązań, emfaticznie mówiąc, z niepowiązanej z niczym *jedni*. Przeto, niewątpliwie, *mielibyśmy* zagwarantowane prawo do przyjęcia wszystkich wspomnianych założeń, zgodnie z którymi, po pierwsze, ponadplanowe działanie nie jest niezgodne z żadnym Aktem Boskim i, po drugie, wydaje się, że prawdopodobny obiekt w polu widzenia istnieje, gdy niektóre z rozpatrywanych warunków zostaną pominięte na początku (a wszystkie warunki istnieją – ma się rozumieć – w tym samym momencie). Chcę powiedzieć, że niektóre są powiązane z resztą lub konsekwencje tego okazują się tak natychmiastowe, że rozróżnienie jest nie do uchwycenia. Różnica rozmiaru, na przykład, od razu spowoduje dążenie jednego atomu do drugiego, zamiast do trzeciego, z powodu nierównych odległości między nimi, co należy rozumieć jako *nierówne odległości pomiędzy środkami masy w sąsiadujących atomach o różnej formie* – co wcale nie wpływa na równomierne rozmieszczenie wszystkich atomów. Różnica rodzaju jest również łatwa

do pojęcia jako po prostu wynik różnic w rozmiarze i formie, mniej więcej razem wziętych: faktycznie, skoro *Jedność* Cząstki Pierwotnej pociąga za sobą bezwzględną jednorodność, to nie możemy sobie wyobrazić atomów w trakcie ich rozprzestrzeniania się różniących się rodzajem, bez jednoczesnego specjalnego udziału boskiej woli w wysyłaniu każdego atomu w celu dokonania w każdym z nich zmiany jego zasadniczej natury; im bardziej ta koncepcja jest fantastyczna, tym mniej należy jej ulegać, ponieważ sugerowany cel jest całkowicie osiągalny bez tak szczegółowej i skomplikowanej interwencji. Dostrzegamy zatem, ogólnie rzecz biorąc, że byłoby superrogacją⁵, a w konsekwencji brakiem logiki twierdzenie, zgodnie z którym atomy, z uwagi na cel, różni coś więcej niż odmiennosć formy narastająca podczas ich rozprzestrzeniania się wraz z nierównością ich odległości po jego dokonaniu się; wszystkie inne różnice wynikają już z pierwszych procesów powstawania masy; w ten sposób umacniamy pogląd o wszechświecie czysto geometrycznym. Oczywiście nie jest w żadnym razie konieczne przyjmowanie koncepcji bezwzględnej różnicy, nawet co do formy, między wszystkimi wyemitowanymi promieniście atomami – nie bardziej, ani [koncepcji] o absolutnej nierówności odległości każdego z nich od każdego innego. Powinniśmy wyobrazać sobie li tylko, że żadne sąsiadujące atomy nie mają podobnej formy – żadne atomy, które mogą się kiedykolwiek zbliżyć do siebie, aż w końcu ponownie się zjednoczą.

(51.) Chociaż istnieje bezpośrednia i stała dążność rozdzielonych atomów do powrotu do właściwej jedności, jest ona przypisywana – jak już powiedziałem – procesowi ich nienaturalnego rozproszenia; wszelako wydaje się jasne, że owa dążność pozostanie bez skutku dopóty, dopóki rozpraszająca energia, przestając oddziaływać, nie pozostawi owej dążności swobody w poszukiwaniu swojego spełnienia. Boski Akt, jednakowoż, uważany za zdeteminowany/rozstrzygający i niekontynuowany po dokonaniu rozproszenia – jak rozumiemy – od razu powoduje *przeciwdziałanie* – innymi słowy, wystarczającą dążność rozdzielonych atomów do powrotu do *Jedni*.

(52.) Owa rozpraszająca energia atoli jest wstrzymywana, a rozpoczęte przeciwdziałanie zmierza do realizacji ostatecznego planu – tej najwyższej *możliwej Relacji*. Ów plan jawi się więc teraz jako zagrożony zniweczeniem, w szczególności ze względu na tę właśnie dążność do powrotu, co może zagrozić całemu projektowi w ogólności. *Wielosć* jest celem, lecz nie ma niczego, co może teraz powstrzymać atomy najbardziej do siebie zbliżone od *natychmiastowego pędu* ku sobie, by – *zanim* wypełnią cel założonej wielosći – połączyły się w absolutną jedność: nie ma niczego, co przeszkodziłoby zespalaniu się różnych, acz *jedynych* w swoim rodzaju mas, w różnych punktach przestrzeni – innymi słowy, nic nie utrudnia scalania się różnych mas, z których każda jest absolutnie odrębną jednością.

⁵ Superrogacja to działanie, które wykracza poza obowiązek. Przypis red.

(53.) Dla skutecznego i pełnego ukończenia całego projektu widzimy więc niezbędność ograniczonej zdolności odpychania (czegoś oddzielnego, co po wycofaniu woli rozpraszania będzie jednocześnie pozwalać na zbliżenie się i zakazywać łączenia się atomów, zadając im cierpienie, przyzwalając na zbliżenie się do siebie i odmawiając im dostatecznego kontaktu; innymi słowy, chodzi o coś, co mając do pewnego czasu moc wstrzymania ich połączenia, jednak bez zdolności uniemożliwiania im w jakimkolwiek względzie lub w jakimkolwiek stopniu przyłączania się do siebie nawzajem. Siły odpychania, już uważane z innych powodów za szczególnie ograniczone, należy rozumieć – powtarzam – jako mające moc zapobiegania bezwzględnemu połączeniu *tylko do pewnego czasu*, chyba że przyjmimy koncepcję, zgodnie z którą żądza jedności atomów nigdy nie zostanie zaspokojona, to, co miało początek, nie ma końca, i której *naprawdę* nie ma sensu brać pod uwagę, bo choć możemy dużo o niej mówić lub marzyć o jej rozważaniu – to i tak będziemy zmuszeni dojść do wniosku, że wyobrażony wpływ odpychania w końcu, pod naciskiem zbiorowego dążenia do Jedności, *przeważy*, aczkolwiek nigdy i w żadnym stopniu nie dokona się to przed wypełnieniem Boskich zamierzeń. To zbiorowe dążenie musi się dokonać w sposób naturalny i poddać się mocy, która w tym ostatecznym czasie musi być mocą dominującą, dokładnie w wymaganym zakresie, a tym samym pozwoli powszechnemu zapadaniu się na to, co nieuniknione, a przeto pierwotne, normalne *Jedno*. Warunki, które należy tutaj pogodzić, są, w istocie, trudne: nie możemy nawet pojąć możliwości ich pogodzenia – niemniej jednak owa oczywista niemożność jest niezwykle sugestywna.

(54.) *Widzimy*, że coś takiego, mającego siłę przyciągania, *naprawdę* istnieje. Człowiek ani nie wykorzystuje, ani nie zna siły wystarczającej do spowodowania zetknięcia się dwóch atomów. Jest to dobrze ugruntowane twierdzenie o nieprzenikalności materii. Dowodzą tego wszystkie eksperymenty; cała filozofia to przyznaje. *Plan oddziaływania siły odpychania* (konieczność jej istnienia) starałem się już udowodnić; ale powstrzymałem się nabożnie od wszelkich prób zbadania jej natury, a to ze względu na intuicyjne przekonanie, że rozpatrywana zasada jest ściśle duchowa, leży gdzieś w zagłębieniu, niedostępnym naszemu obecnemu rozumieniu, towarzysząc obecnym rozważaniom *Ducha samego w sobie*, czyli tego, co w naszej ludzkiej sytuacji jest *nie* do rozważenia. Czuję tu, innymi słowy, Boską interwencję, jako że tutaj i tylko tutaj owa przeszkoda wymagała interwencji Opatrzności.

(55.) Faktycznie, jeśli dążenie rozproszonych atomów do powrotu do jedności zostanie od razu rozpoznane jako Newtonowskie prawo Grawitacji, o którym już mówiłem jako o wpływie odpychania określającym granice (natychmiastowego) zaspokojenia owej dążności, to będzie ono rozumiane jako *to*, co w praktyce określa się jako ciepło, jako magnetyzm, jako *elektryczność*, co ukazuje naszą nieznaną naturę jego zadziwiającej natury, mającej odzwierciedlenie w chwiejnej frazeologii, przy pomocy której staramy się je opisać.

(56.) Nazywając je, za ledwie na chwilę, elektrycznością, wiemy, że wszystkie eksperymentalne analizy elektryczności dały w ostatecznym wyniku zasadę, lub pozorną zasadę,

niejednorodności. Tylko tam, gdzie rzeczy się różnią, elektryczność jest dostrzegalna i można przypuszczać, że nigdy nie różnią się tam, gdzie nie powstaje, lub przynajmniej, jeśli w żaden sposób się nie manifestuje. Otóż ów wynik jest jak najpełniej zgodny z tym, który osiągnąłem niedoświadczalnie. Hołdowałem przekonaniu, że projekt oddziaływania siły odpychania polega na zapobieganiu natychmiastowemu jednoczeniu się rozproszonych atomów, a owe atomy różnią się jeden od drugiego. Różnica jest ich naturą – ich istotą – tak jak brak różnicy był właściwością ich źródła pochodzenia. Gdy mówimy zatem, że próba połączenia którychkolwiek z tych dwóch atomów wymagałaby pewnego wysiłku ze strony siły odpychania, aby zapobiec ich zetknięciu, równie dobrze możemy użyć dokładnie odwrotnego zdania, mówiąc, że próba połączenia jakichkolwiek dwóch różnorodności będzie skutkować powstaniem elektryczności. Wszystkie istniejące ciała, oczywiście, składają się z owych atomów bezpośrednio przylegających do siebie i należy je przeto uważać za zwykłe skupiska o większej lub mniejszej różnicy, a opór czyniony przez siłę odpychania po zespoleniu dwóch takich dowolnych skupisk byłby proporcjonalny do sum obu różnic w każdym z nich. To stwierdzenie, w wersji skróconej, jest równoważne z następującym: *ilość energii elektrycznej powstałej podczas przybliżania się do siebie dwóch ciał, jest proporcjonalna do różnicy pomiędzy poszczególnymi sumami atomów, z których składają się owe ciała.* To, że żadne dwa ciała nie są absolutnie identyczne, jest prostym następstwem wszystkiego, co tu powiedziano, toteż elektryczność, istniejąca zawsze, powstaje i objawia się tylko wtedy, gdy jakiegokolwiek ciała, ciała o znacznej różnicy mas, znajdują się w pobliżu siebie.

(57.) Co do elektryczności, na razie nadal tak ją nazywam, możemy nie mylić się w odniesieniu do jej różnych fizycznych przejawów (światła, ciepła i magnetyzmu), jednak będziemy popełniać o wiele mniej błędów, przypisując tej ściśle duchowej zasadzie istotniejsze atrybuty, takie jak: witalizm, świadomość oraz *Myśli*. W tym miejscu, atoli, przy tym temacie, muszą się zatrzymać, li tylko po to, aby zasugerować, że te zjawiska, obserwowane bądź całościowo, bądź szczegółowo, przebiegają co *najmniej proporcjonalnie do stopnia niejednorodności.*

(58.) Odrzucając teraz dwa niejednoznaczne określenia: „grawitacja” i „elektryczność”, przyjmijmy bardziej precyzyjne wyrażenia – „przyciąganie” i „odpychanie”. To pierwsze jest ciałem, to drugie duszą; jedno jest materialne, a drugie stanowi duchową zasadę Wszechświata. *Nie istnieją żadne inne zasady.* Wszystkie zjawiska można powiązać z jednym lub drugim, lub z oboma naraz. Tak zasadniczo jest i w tym przypadku. Można precyzyjnie dowieść, że przyciąganie i odpychanie są *jedynymi* właściwościami, poprzez które postrzegamy Wszechświat, innymi słowy, poprzez które Materia objawia się Umysłowi. Li tylko dla celów argumentacji jesteśmy w pełni usprawiedliwieni, przyjmując założenie, że materia *istnieje* jedynie jako przyciąganie i odpychanie – że przyciąganie i odpychanie są materią. Nie można wyobrazić sobie w żadnym razie, że nie moglibyśmy używać terminu „materia”, tudzież terminów „przyciąganie” i „odpychanie” rozpatrywanych łącznie jako równoważnych, a zatem wymiennych wyrażen w logice.